

№ 25. Rok XVII.

• Dnia 7 (19) Czerwca 1897 r.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Delfiny towarzyszące okrętowi.

DELFINY.

W pogodny dzień, gdy wiatr sprzyja, żegludze statków, pływających po cieśninie, łączącej morze Śródziemne z Atlantykiem, podróżnik zachwycę się nie tylko widokiem skał majestatycznie wznoszących się na wybrzeżu Gibraltaru, latarni morskiej, służącej za drogowskaz żeglarzom, słupów Herkulesa w pobliżu przeciwniejszej Ceuty, ale nadto ciekawie śledzi wesołe pławy delfinów, które tysiącami otaczając okręt, towarzyszą mu nieodstępnie w każdej niemal wyprawie. Rodzaj ten, zaliczony do gatunku wielorybów, stanowi najmniejszą ich odmianę. Delfin, podobnie jak wieloryb, nie potrzebuje dla oddechu wystawiać paszczy z wody, dość mu bowiem wychylić sam wierzchołek głowy z umieszczonemi w niej nozdrzami. Oczy ma niewielkie, zmysły mało rozwinięte, pozbawiony jest niemal węchu, co mu w części nagradza bystrość wzroku. Zwierzęta te znajdują się we wszystkich morzach kuli ziemskiej, żyją gromadnie, ruchy mają zwinne i zwykły towarzyszyć w podróży okrętom, łowiąc pływające wokoło ryby. Rybacy poławiają delfiny dla obfitości zbieranego z nich tranu.

WOJNY KRZYŻOWE.

(Dalszy ciąg).

KRUCYATY ANDRZEJA WĘGERSKIEGO I FRYDERYKA II.
1217 — 1229).

Papież Inocenty III, ubolewając nad niespodzianym obrotem czwartej krucjaty, powtórzył w 1215 r. wezwanie do monarchów i książąt europejskich, aby się znowu uzbroili przeciwko Saracenom. Fryderyk Hohenstaufen otrzymał z rąk papieżkich koronę Rzymsko-Niemiecką pod tym warunkiem, że weźmie znak krzyża i uda się do Palestyny. Nowy cesarz jednak zwlekał z wykonaniem ślubu. Za to król węgierski, Andrzej II, puścił się do Ziemi Świętej, na czele wojska złożonego z różnych narodowości. Wojsko to było dość liczne, ale z powodu braku zgody i jedności działania Krzyżowców w Syrii nie miało żadnego powodzenia.

Król węgierski, zniechęcony kłótniami rycerzy i baronów pomiędzy sobą, tudzież zrażony trudami, nieodłącznemi od takiej wyprawy, po trzechmiesięcznym pobycie w Palestynie, nie dopełniwszy ślubu i nie nie zdziaławszy dla Ziemi św., powrócił do Europy. Pozostali tylko przy wojsku legat papieżki, kardynał Pelagiusz, oraz tytularny król jerozolimski Jan de Brienne, posiadacz twierdzy Ptolemaid.

Po odejściu Andrzeja nadciągnął do Ptolemaid liczny zastęp Krzyżowców z Hollandyi, Francyi, Włoch i Niemiec. Wzmocnieni na siłach postanowili Krzyżowcy zmienić dotychczasowy plan działań wojennych. Ponieważ Palestyna należała do sultana egipskiego, wszelkie zwycięstwa i zdobycze, w tej prowincyi czynione, miały charakter czasowy, gdyż sultan egipski, wyczekawszy stosowną chwilę, znowu przysyłał nowe wojska.

Postanowili więc Krzyżowcy nader słusznie najprzód zgnieść potęgę sultana przez, zdobycie Egiptu, poczem odzyskanie i utrzymanie Ziemi Świętej byłoby już koniecznym wynikiem tego pierwszego zwycięstwa i nie wymagałoby ciągłych walk i bojów, oraz nowych wypraw krzyżowych z Europy.

Z tego względu wojsko chrześcijańskie, opuściwszy Palestynę, wyładowało przy ujściu Nilu, niedaleko miasta Damietty, które było w owej epoce wielce handlowe i bogate, a leżało o milę od morza na prawym brzegu Nilu.

Chrześcijanie chcieli je zdobyć, lecz że się znajdowali na lewym brzegu, brak statków przewozowych nie pozwolił im przystąpić zaraz do oblężenia. Tymczasem sultan egipski, Malek-Kamel, wyprawił na pomoc mieszkańcom Damietty znaczne wojsko, które, rozłożywszy się na prawym brzegu Nilu, odpięrało wszelkie usiłowania Krzyżowców, aby przepłynąć się przez rzekę. Szczęściem dla tych ostatnich między sultanem i jego podwładnymi wynikły nieporozumienia, z powodu których Saraceni cofnęli się w głąb kraju, a chrześcijanie, przeprawiwszy się przez Nil, oblegli Damietę.

Oblężenie i zdobycie tego miasta należy do również wielkopomnych czynów, jak zdobycie Ptolemaid w czasie trzeciej krucjaty. Krzyżowcy dokazywali cudów waleczności, aby zdobyć silne i zasobne miasto, a jednocześnie odpięrać ciągłe napady Saracenów. Załoga Damietty odznaczała się także żelaznym uporem i wytrzymałością. Po siedemnastu miesiącach dopiero dostało się owe miasto w ręce Krzyżowców. Było to w początkach listopada r. 1218; noc była burzliwa, deszcz ulewny padał, a cisza głęboka panowała w zgnętanem mieście. Garstka rycerzy chrześcijańskich wdarła się na mury, zabiła strażę i, wyłamawszy dwie bramy, wpuściła resztę Krzyżowców.

Ale gdy o świcie do środka miasta dotarli, okropny widok przedstawił się ich oczom: place publiczne, domy i meczety zawałone były trupami. Kiedy Krzyżowcy przybyli nad brzegi Nilu, Damietta liczyła 70.000 mieszkańców, teraz zostało ich tylko 3.000, a i ci bardziej do trupów, niżli do żyjących, podobni byli.

Wież o zdobyciu Damietty przejęła wszystkich chrześcijan nadzwyczajnym zapałem, a sultana egipskiego wielką trwogą. Papież Honorjusz III-ci wezwał ponownie cesarza Fryderyka II, aby spełnił przyrzeczenie i ślub uroczysty i podążył do Egiptu. Rzeczywiście była to chwila, w której Krzyżowcy, wzmocnieni nowymi siłami i urokiem cesarskiego wódza, mogliby złamać potęgę Egiptu i całą Palestynę odzyskać na długo. Sultan egipski był tak przerażony, że, nie czekając na przybycie Fryderyka, zobowiązał się oddać zdobywcom Damietty całą Ziemię Świętą pod warunkiem oddania mu tego miasta.

Krzyżowcy jednak, niezbyt ufając obietnicom sultana i licząc na rychłą pomoc cesarza niemieckiego, postanowili niezwłocznie posunąć się w głąb kraju i przez zdobycie stolicy, którą było miasto Kair, zgnieść ostatecznie Saracenów.

Niestety, nie znali dobrze kraju ani warunków miejscowych i zawiedli się w swych oczekiwaniach, tak co do pomocy Fryderyka, jak co do słabości nieprzyjaciela.

Delcie Nilu przerzyna cała sieć odnóg, oraz sztucznych kanałów, dzieło dawnych Egipcjan. Chociaż pod panowaniem Arabów większa część tych kanałów była w zupełnem zaniedbaniu, jednak niektóre istniały jeszcze i za pomocą słuzów mogły nawadniać i zalewać pola. Krzyżowcy w pochodzie na Kair stanęli niebawem w rozległej dolinie nad głębokim i szerokim kanałem, zwanym Aszmon. Ponieważ nie mieli łodzi do przeprawy, a na brzegu przeciwnym ujrzeni potężne zastępy Arabów, wstrzymali pochód i okopali się w obozie. Atoli żywność, którą z sobą zabrali, wkrótce spożyta została; nie było tedy innej rady, jak wracać do Damietty. Kiedy jednak rozpoczęli odwrót, Saraceni, otworzywszy słuzę, zaleli wodą dolinę, przecięli Krzyżowcom drogę do Damietty i doprowadzili ich do tego stanu, iż, walcząc jednocześnie z wodą, wrogiem i głodem, albo umrzeć albo się poddać musieli. Ostatecznie, aby uratować życie, złożyli sultanowi okup i zwrócili Damietę, co miało miejsce w r. 1220.

Na wieść o upadku Damietty i smutnym końcu tak świetnie rozpoczętej wyprawy, chrześcijanie zachodni zapalali słusznym gniewem przeciwko Fryderykowi II-mu, który przez niewykonanie uroczystego ślubu, w tak ważnym i stanowczym czasie, nie pospieszył na pomoc Krzyżowcom. Zewsząd posypały się nań przekleństwa i złorzeczenia, a papież Grzegorz IX, następca Honorjusza III-go, zagroził mu kłatwą kościelną, jeśli nie urządzi nowej krucjaty, do której się zobowiązał. Gdy jednak Fryderyk przez kilka lat zwlekał, kłątwa została rzuconą, a cesarz niemiecki dopiero w r. 1228,

nie postarawszy się o zdjęcie kławy, z niezbyt wielkiem woj-
skiem popłynął do Syrii.

Wszyscy jednak mieli mu za złe, że, będąc wyklętym, przedsięwziął zuchwale dzieło oswobodzenia Grobu Pańskiego. Kiedy cesarz przybył do Palestyny, mieszkańcy tameczni przyjęli go z największą obojętnością i wstrętem, a zakony rycerskie św. Jana i Templariusze, z wyjątkiem niemieckiego zakonu krzyżaków, odmówili mu swej pomocy.

Po kilku dość szczęśliwych utarczkach z sultanem egipskim, cesarz zaprzestał wojny i drogą układów odzyskał w r. 1229 Jerozolimę, ale tylko na lat dziesięć.

Jednakże wjazd do Jeruzalem i zajęcie tego miasta odbyło się bez uczestnictwa duchowieństwa i wiernych. Nikt nie towarzyszył Fryderykowi oprócz baronów niemieckich i Krzyżaków; kościół, gdzie się koronował na króla jerozolimskiego, był pokryty żałobą, a obrazy śś. osłonięte krepą. Cesarz sam włożył na głowę koronę jerozolimską bez żadnych obrzędów kościelnych, wkrótce też po koronacji powrócił do Europy i dopiero w następnym roku pojednał się z papieżem, oraz uzyskał zdjęcie kławy.

Tak się zakończyły te dwie wyprawy, które niektórzy historycy uważają za jedną krucyatę, piątą z kolei, inni zaś za dwie oddzielne: piątą i szóstą. (d. c. n.)

A. z Ch. Bożkowska.

PANNA MARYCHNA Z OPOROWA.

(Ciąg dalszy).

W pierwszych dniach, Marychna nie wychodziła prawie wcale przepędzając czas na przyglądaniu się obyczajom mieszkańców zwierzyńca, lub w komnatce swojej na modlitwie i ręcznej pracy.

Wyszywała złotem i jedwabiami ornat, który postanowiła ofiarować do parafialnego kościoła na intencję spełnienia swych zamiarów. W miarę jak pod zgrabnemi jej paluszkami zakwitły liście i otwierały się kielichy kwiatów, błoga nadzieja wstępowała w jej serce, lubo jeszcze nic ją do niej nie upoważniało.

Jasiek tymczasem codziennie prawie czynił wycieczki w pobliżu i rozpytywał ludzi, a Zochna, chodząc na grzyby i jagody, starała się również pochwycić jakieś wieści, które przydać się mogły kochanej panience.

Jednego razu przybiegła zadyszana.

— Panienko! — wołała zdala — mam coś ciekawego do powiedzenia.

Marychna zadrżała, bo w każdej nowinie spodziewała się usłyszeć wieść o matce.

— Mów — rzekła — a mów prędzej, bo wiesz, jak pragnę dowiedzieć się czegoś, co by mnie mogło pocieszyć w mem strapieniu.

— Oto — mówiła szybko Zochna — w tę niedzielę pójdę na mszę do kaplicy zamkowej, a może powoli uda mi się wyrobić dla panienki pozwolenie, aby tam również bywać mogła, więc będziemy mieć obie wstęp do zamku, a wtedy, kto wie, może uda się nam coś dopatrzyć.

— O Boże! — zawołała Marychna — powiedz mi, jakże się to stało?

— Oto tak panienko: gdy zbierałam orzechy, chodziła wraz ze mną córka gajowego z lasu, który należy do Sthumu, a graniczy z tutejszym; rozmawialiśmy właśnie o tem i owem, opowiadała mi, że w niedzielę chodzi na mszę do zamku wraz z matką, że tam nie wpuszczają nikogo obcego, ale im tego nie bronią, bo ojciec pozostaje w zamkowej służbie, a przytem ma łaski u szafarza, któremu dostarcza zwierzyny i wszelkich leśnych przysmaków, jak miód, podbierany u pszczoł dzikich,

grzyby, jagody i orzechy. Powiedziała mi wtedy, że radabym bardzo być na mszy, bo nie jestem z tych stron i niedawno zamówiła mnie żona Stoigniewa do pielęgnowania tegorocznego legu dzikiego ptactwa w zwierzyńcu... że przykrzy mi się tak bardzo, iż aby widzieć ludzi i sam zamek obejrzeć dała-bym jeden sznurek tych bursztynów, co noszę, a do których widzę, że aż się jej śmieją oczy... Nic mi nie odrzekła ale widziałam, że ma ochotę uczynić zadość memu żądaniu. Nie na tem jeszcze konie; chodźmy dalej razem, zbierając to orzechy, to grzyby. Nagle Agatka (bo mówiła mi, że tak się zowie) krzyknęła przeraźliwie, chwytając się za nogę; spojrzałam, co by jej ten ból sprawić mogło i cofnęłam się z przestachem, bo dostrzegłam tuż wijącą się żmiję, która ją ukąsiła. Agatka dostrzegła ją także.

— Już po mnie — rzekła, zbladłszy jak ściana.

— Nic ci nie będzie — rzekłam wtedy, przejęta litością dla biednej dziewczyny — powiedz mi tylko gdzie mieszkasz, a tymczasem pokaż mi ranę.

Siadła na pnium suchym i gdy odwinęła nogę, zobaczyłam, że żmija ugryzła ją powyżej kostki. Noga już puchnąć zaczynała, aby więc nie dopuścić dalej jadu podarłszy zapaskę, ścisnęłam nogę powyżej rany... Ogromnym kamieniem, który ledwo mogłam podźwignąć, zmiążdżyłam potem głowę żmii i poszłam wraz z wyłknioną dziewczyną do chaty jej rodziców, która na szczęście była stamtąd niedaleko. Gdy matka zobaczyła córkę i dowiedziała się, co zaszło, uderzyła w lament, lecz ja pocieszyłam, że nic złego się nie stanie, byle tylko co prędzej nałapała żab w pobliskiem bagnie i przyniosła dzieję zsiadłego mleka. Zrobiła wnet jak powiedziałam. Dziewczyna dobrze już spuchniętą nogę włożyła w mleko z żabami i stało się to, co bywało zwykle, jak nasza jejmość leczyła w ten sposób ukąszonych od żmii...

— Noga stęchła i żaby zmartwiały — przerwała z uśmiechem Marychna.

— No tak i ból przeszedł... ale wypowiedzieć wdzięczność obojga rodziców to już trudno, bo i ojciec nadszedł wkrótce. Dziewka była u nich jedynaczką... więc chcieli, ażeby wzięła co mi się podoba z ich chudoby...

— Ale ma się rozumieć, że nic wziąć nie chciałaś?

— A jeszczeby! alboż nie wiem od panienki, że ratować bliźniego to obowiązek chrześcijański. Powiedziała mi tylko na ucho dziewczce, żeby pamiętała zabrać mię z sobą do kaplicy, co też przyrzekła.

— Dobrze się spisałaś moja Zochno — rzekła, gładząc dziewczynę po twarzy Marychna i da Bóg, ta znajomość na dobre nam wyjdzie.

— A gdy raz tam będę i dobrze się we wszystkim rozpatrzę, może uda mi się dowiedzieć się czegoś, a potem i panienkę wprowadzić...

Marychna westchnęła głęboko, bo nic nad to nie pragnęła więcej. Zdawało jej się, że raz dostawszy się w te pounure mury, musi tam matkę zobaczyć.

Jakkolwiek wszakże przypuszczenia jej były nieprawdopodobne, okoliczność, która zaszła w parę dni później, zdawała się je potwierdzać.

Jaśko wszedł jednego razu do komnatki na górze, cały promieniejący radością.

— Panienko! — szeptał z cicha — czy panienka sama tutaj?

— Sama — odparła Marychna, kładąc robotę — ale dlaczego o to pytasz, wiesz, że mogę zaufać Zochnie...

— Z przeproszeniem panienki, dziewczęta to zawsze świegotliwe, a to, co mam powiedzieć, jest bardzo ważne.

— No cóż takiego? zmiłuj się, mów prędzej!

— Oto mam pewne poszlaki, że nasza jejmość kochana jest tutaj...

Marychna zadrżała i zbladła, opierając się o ścianę: marzenia jej, przybierające pozory prawdy, obezwładniały ją prawie nadmiarem radości.

— Mów co słyszałaś — wyjąknęła znowu.

— Niech panienka siada, bo to długa historia, a panienka ledwo na nogach się trzyma.

Marychna usiadła i wsparłszy głowę na dłoni słuchała, nie mając siły wymówić i słowa więcej.

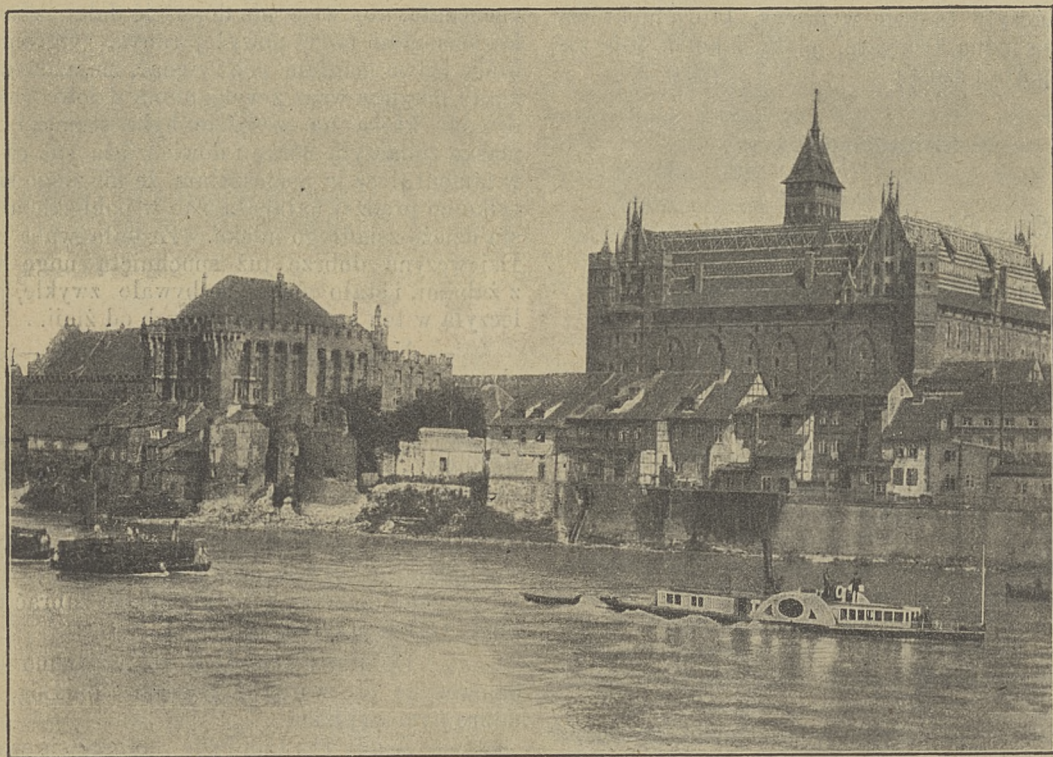
— Od czasu gdy jesteśmy tutaj, chodziłem w różne strony, dowiadując się o tem i owem, ażeby wpaść na ślad jakiś. Rozpytywałem ludzi o owych krewnych waszych, z których jeden Ulrych jest tutaj komendantem załogi i przekonałem się, że nie mają miłości u ludzi. Każdy na nich narzeka i nie da dobrego słowa, więc łacniej się dowiedzieć czegoś, co im ujmę przynieść może; jakoż zdarzyło się, że włodarz jednego z zamkowych folwarków, któremu Ulrych nie chciał ani grosza daniny odpuścić, pomimo, że grad wymłócił mu pole powracał do domu rozżalony, bo zepsuło mu się koło u wozu,

dowiedziałem się także i tego, co przyszedłem wam powiedzieć — dodał Jaśko, głos zniżając znowu.

Mów — ozwała się zaledwo dosłyszczanym szeptem pan-na Marychna.

— Gdy zaczął wygadywać na Ulrycha, skończywszy o tem, co jemu najgorzej doskwierało, dodał jeszcze:

— Niestety, że to plugastwo krzyżackie jeszcze się rozpościera w tej nieszczęśliwej ziemi! oj, umie ono ludzi gubić na wsze strony, a małoż jeszcze tego, co oczy nasze widzą; posłuchać tylko ludzi tu i owdzie, a pięknych rzeczy dowiedzieć się można. Trudnią się oni niewątpliwie grabieżą na rozstajnych drogach, a i ten Ulrych nie dalej jak w ze-



Widok miasta i zamku malborskiego.

a spotkawszy mnie w lesie, zagadnął, czybym mu dopomódz nie zechciał wóz naprawić? Ma się rozumieć, że, jak zwykle, pochwyciłem skwapliwie zręczność zawiązania nowej znajomości i naprawiłam wóz wkrótce, bo się znam na tych rzeczach. Gdy przyszło do zapłaty wziąć nie chciałem ani tyńfa za zrobioną przysługę, mówiąc, że przecież obowiązkiem jest chrześcijańskiego człowieka ratować bliźniego w złej przygodzie. Człowiek ów bardzo cię tem zadziwił najpierw, a potem dziękował mi od serca i prosił, abym przyjął poczęstunek w jego domu, który był niedaleko. Nie miałem racji odmówić, tem więcej, że chciałem się z nim bliżej poznać jak z każdym, kogo udało mi się spotkać w tych stronach. Wsiadłem tedy na wóz naprawiony, a on, jadąc powoli w pośród moczarów, rozpowiadać mi zaczął o tem, co mu dokuczało obecnie..

W ten sposób dowiedziałem się w jak smutną popadł przygodę i jak nielitościwie się z nim obszedł Ulrych. Ale

szłym roku urządził jakąś zbójcką wyprawę, nie wie on jeszcze, że ja sam widziałem, jak z niej powracał.. Było to w noc pochmurną i dżdżystą, jechałem późno do domu, a usłyszawszy stąpanie kilku jeźdźców, zboczyłem w krzaki i niewidziany widziałem ich. Był to Ulrych, a z nim kilku knechtów, otaczali przywiązaną na koniu niewiastę, jak sądziłem z ubioru, bo twarz miała zakrytą. Ulrych rozglądał się niespokojnie dokoła, jechali zwolna, więc słyszałem, jak jej kazał, aby milczała, grożąc w przeciwnym razie śmiercią. Zdjęty ciekawością, pomknąłem za nimi na skraj lasu, zostawiwszy w krzakach wóz i konia, widziałem więc, jak zmierzali prosto do zamku, gdzie zapewne uwięzili swą ofiarę, zanim odbiorą od niej okup, którego żądać musieli.

— O Boże — zawołała z płaczem Marychna, przerywając opowiadanie, to była ona... to matka nasza biedna!

— Błagania wszakże niewiasty, aby ją uwolnili — cią-

gnął dalej swe opowiadanie Jaśko — były daremne, zbóje słuchać jej nie chcieli i uprowadzili ją, zapewniając, że nie zamierzają jej uczynić krzywdy i że od niej samej zależy będzie los jej dalszy. Poznałem głos nienawistny tego, który do niej mówił... był to niezawodnie Ulrych.

— Ale gdzie się to działo? — zapytała, łamiąc ręce Marychna.

— O mil ztąd kilka, właśnie mniej więcej tam, gdzie miłościwą panią naszą spotkała zła przygoda...

— I włodarz ten jest stamtąd? czy nie możnaby go widzieć?

— Był tu w przejeździe, gdy go spotkałem, i zdybać go

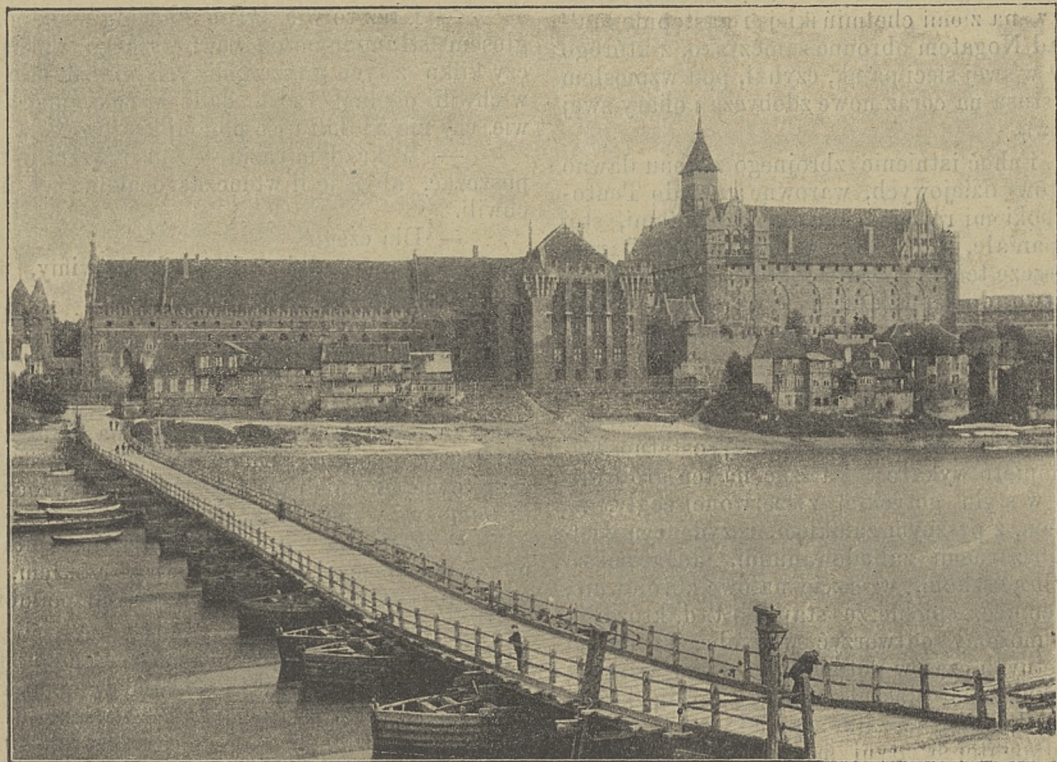
— To i dobrze byłoby, żeby starzy dali się namówić, bo choć dziewczyna chętnie dopomódz zechce, bez ich pomocy nic nie wskóra.

— W tem sęk, ale kochają bardzo córkę i bardzo są wdzięczni za dany jej ratunek.

Dalszą rozmowę z Jaśkiem przerwała Zofka, wbiegając zadyszana.

— Panienko złocista, wszystko dobrze, w niedzielę będę na mszy w zamkowej kaplicy...

Marychna porwała się z siedzenia drżąca i wzruszona, Jaśko zaś obejrzał się podejrzliwie dokoła, czy kto nie podsłuchuje, bo chociaż oprócz Stoigniewa i jego niewiasty niko-



Malbork z mostem na Nogacie.

teraz niełatwo, ale nic by wam nie powiedział prócz tego, co powtarzam, bo więcej nie wie, a zresztą dość nam i tych poszlak, teraz trzeba obmyśleć sposób, w jakibyśmy się dostać mogli do wnętrza zamku.

— O tak, i Bóg nam w tem poszczęścił Jaśku, i tu opowiedziała mu przygodę córki leśniczego, dany jej ratunek i obietnicę, którą uczyniła. Jaśko zamyślił się nad tem, nie okazał zbyt wielkiej radości z pomysłu nowiny, bo wiedział, że dużo jeszcze wody upłynie, zanim zamiar tak hazardowy da się wykonać, nie chciał wszakże zasmucić panny Marychny, odejmując jej nadzieję, która ją podtrzymywała w strapieniu, więc po chwili zapytał tylko:

— No, a na kiedyż myślicie, że się to da ułożyć?

— Dziś piątek, pojutrze niedziela, więc Zofka napraszać się będzie.

go nie było w sadzie, zawsze zbytek ostrożności nie wadził w tak trudnej sprawie.

— Jakże to było, mów prędzej — zapytała Marychna.

Zofka, zdjeta teraz jakąś tajemną trwogą, aby się rzecz cała nie wydała przed czasem, cichym już szeptem opowiedziała, że postanowiła zamiar swój wykonać niezwłocznie i dlatego, nic nie mówiąc paniencie, przynagliła dzisiaj córkę leśniczego, aby ją do zamku zaprowadziła, ale Agata lękała się zrobić tego bez wiedzy ojca, ten znów powiedział, że za nic w świecie odzwierny nie wpuści nikogo obcego. Wzruszył go jednakże w końcu smutek dziewczyny, którą szczerze polubił, i po niej jakimś namyśle dodał:

— Jest wprawdzie i na to sposób, ale nie wiem, czyby się udał... Agatka chodzi ze mną tak owinięta rańtuchem, że jej ledwo oczy widać... twarzę jej więc nikt nie zna w zamku, a wzrost macie jednakowy...

— Nie mogąc ukryć radości mojej na te słowa — odrzeka dalej Zofka — aż podskoczyłam w górę i pocałowałam go w rękę, a potem jęłam zaraz prosić Agatki, aby mi pozwoliła przyoblec się w swoją jubkę, spódnice i zapaskę, a dała ran-tuch którym głowę przysłania... Gdym to wszystko przy-wdziała, sam leśniczy powiedział, że nie rozpoznałby mnie ni-gdy od córki, a tem więcej odźwierny, który Agatki bliżej nie widział; stanęło więc na tem, że przebrawszy się w nie-dziele i w oznaczonej godzinie, pójdę do Sthumu na ową mszę do zamku, a modlić się tam pewno będę szczerze, aby Bóg mię natchnął, co czynić dalej.

(d. c. n.)

MALBORG.

Długie już wieki minęły od 1225 r., gdy łupieżki zakon krzyżacki, osiadłszy na ziemi chełmińskiej i następnie mal-borskiej, wznosił nad Nogatem obronne zamczysko, z którego murów, niby ukryty w swej sieci pająk, czyhał, pod wzniosłym godłem nauki Chrystusa na coraz nowe zdobycze i ofiary swej chciwości i ciemięztwa.

Minęły wieki, i choć istnienie zbrojnego zakonu dawno już przeszło do faktów dziejowych, warowne gniazdo Teuto-nów, otoczone głębokimi rowami, murami i basztami, stoi dotąd potężne i wspaniałe, a z „marienburgskiej wieży” roz-brzmiewa i teraz jeszcze ten sam dzwon, który niegdyś wy-wał zbrojne rycerstwo do zapuszczania krwawych zagonów między litewskie i słowiańskie ludy, do tępienia ogniem i mie-czem ich narodowości i bytu.

A jak niewzruszone stoją te mury, tak nie ustała też walka, którą żywioł germański prowadzi przez całe już tysiąc-lecie przeciw słowiańszczyźnie, walka, której ostatnią wy-graną przyszość dopiero wykaże. Patrząc na ten gród wa-rowny, wzniesiony w stylu gotyckim z czerwonej cegły, ze wspaniałym kościołem, z pysznym zamkiem, rezydencją wiel-kich mistrzów, z obszernymi zabudowaniami, służącymi za koszary rycerzom braciszkom, wreszcie na owe zbrojownie, odlewnie armat, mennice, spichlerze, stajnie i t. d. które się dokoła rozkładają, możemy odtworzyć w wyobraźni naszej jaskrawy obraz świetnych czasów potęgi krzyżackiej, wzrosłej tu, jakby pod opiekunictwem płaszczem Matki Bożej, której olbrzymia postać na tle złotej mozaiki spogląda w świat z wy-niosłego krużganku bogatej świątyni marienburgskiej. Wnę-trze też pałacu Wielkiego Mistrza jest odpowiednio do całości wspaniałe; na wyróżnienie zaś szczególnie zasługuje tu obszer-na sala, „rycerską” zwana, miejsce walnych zebrań i sutych uczt, wydawanych przez mistrza dla rycerskiej braci.

Od strony północno-wschodniej stoi naprzeciw bramy zamkowej spiżowy pomnik Fryderyka Wielkiego, ku wiecznej pamięci, iż on to właśnie, 1772 r. zagarnął ówczesne woje-wództwo malborskie w posiadanie swoje. Nie umiał on wszakże w swej praktyczności żołnierskiej uszanować da-wnych pamiątek i zabytków świetności teutońskiej, bo w pię-knych tych murach urządzono z jego rozkazu magazyny woj-skowe i koszary, przez co zamek byłby popadł w zupełną ruinę, gdyby już w 1815 r. nie usunięto wojska i nie rozpoczęto jego naprawy. Szczególną zaś opieką otoczył to miejsce dzi-siejszy cesarz niemiecki Wilhelm II, pod wpływem byłego mi-nistra oświaty Goslera.

Opodal od grodu rozkłada się właściwe miasto Malborg, dawna siedziba sług i pacholków krzyżackich, z ludnością do dzisiaj przeważnie niemiecką, która, dochodząc cyfry 10 tysię-cy, nie zdradza bynajmniej zamożności i dobrobytu.

SFINKS ŁODOWY,

przez

JULIUSZA YERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

— O kapitanie i reszcie załogi okrętu angielskiego, na którym Artur Prym i Dick Peters po zatonięciu „Grampiusa” znaleźli przytułek, a który zawiózł ich przez morze podbiegu-nowe do wyspy Tsalat...

— Kapitanie — odezwałem się tonem, jakbym wszyst-kiemu dawał wiarę — ci ludzie zginęli przecież, jedni w czasie napadu na statek, inni w skutek sztucznego trzęsienia ziemi wywołanego przez krajowców Tsalat...

— Któż to wie, panie Jeorling — odpowiedział kapitan głosem stłumionym od wewnętrznego wzruszenia — kto wie czy kilku z tych nieszczęśliwych nie zdołało się ocalić, bądź w chwili ogólnej rzezi, bądź w następnej katastrofie! Kto wie, czy nie zdołali ująć pogoni krajowców...

— W każdym razie — zauważyłem — trudno jest przy-puszczać, aby, jeśli wtenczas ocaleli, żyli jeszcze w obecnej chwili.

— Dla czego?

— Bo wypadki, o których mówimy, miały miejsce lat temu jedenaście.

— Panie — zawołał kapitan — jeżeli Artur Prym i Dick Peters mogli posunąć się za 84 stopień szerokości, jeżeli zna-leźli środki do życia tam pod samym biegunem, dla czegożby ich towarzysze, jeśli nie padli z rąk dzikich krajowców, nie mieli znaleźć sposobu dostania się na jedną z wysp, które po-znali w swej podróży! Dla czegożby ci nieszczęśliwi moi współ-ziomkowie, nie mieli tam żyć dotychczas, oczekując z tęskno-tą pomocy i wybawienia?

— Zdaje mi się, iż pozwoliłeś się kapitanie zbyt opo-nować współczuciu dla tych ludzi — rzekłem, by uspokoić mó-wiącego. — Gdyż prawdziwem jest niepodobieństwem...

— Niepodobieństwo, panie!... A jeśli zdarzy się wypa-dek, jeżeli napotkam dowody materyalne o istnieniu tych nie-szczęśliwych opuszczonych u krańców ziemi, dowody, których bezustannie szukam, czyżby jeszcze wtenczas śmiał kto zawo-łać: „Niemożliwe!” i nie spieszył na ich ratunek!

W tej chwili kapitan, który z trudnością tłumił łkania, rozsadzające mu piersi, zamilkł, nagle zerwał się z miejsca i zwrócił w kierunku południowego bieguna, jakby wzrokiem swym chciał przejrzeć dalekie horyzonty.

Zwrot ten uwolnił mię szczęśliwie od trudnej zaprawdę odpowiedzi, więc milcząc pozostałem na miejscu.

Tymczasem biedny chory zwrócił się znowu do mnie i kładąc rękę na mem ramieniu, szepnął mi do ucha:

— Tak, panie Jeorling, jeszcze dotąd ostatnie słowo o losie załogi „Orionu” nie zostało wypowiedziane.. poczem spieszyn krokiem zwrócił się ku swojej kajucie.

— Orion! — zawołałem, zostawszy sam — rzeczywiście, przypominam sobie, tak właśnie miał się nazywać żaglowiec, który przyjął Artura Pryma i Dicka Petersa, po nieszczęsnym rozbiciu okrętu „Grampius.” Kapitan Len Guy, w ciągu długiej swej rozmowy pierwszy raz nazwę tę wymienił... I w tejże chwili wraz z nazwą statku przypominałem sobie, że Orionem miał dowodzić również jakiś Guy. Czyżby ta wspól-ność imienia, dość zresztą pospolitego w Wielkiej Brytanii, nie stała się przyczyną chorobliwego nastroju umysłu kapi-tana? — pomyślałem. — Może on wmówił w siebie, że należy do rodziny zaginionego wśród wód południowych, i dla tego tak się rozczuła nad jego nieszczęsnym losem...

— Byłoby rzeczą ciekawą — rozważałem dalej — czy pułkownik Jem West wtajemniczony jest w tę urojoną troskę;

pytać go wszakże o to nie wypada, nadto bowiem drażliwą jest kwestya, która stawia w wątpliwem świetle równowagę umysłową zwierznika. A zresztą pocóż mi zajmować się tem wszystkim w dalszym ciągu? Czyż za kilkanaście dni nie miałem opuścić Halbranu, by pozostać sam na wyspie Tristan d'Acunha?

Nazajutrz dnia 22 sierpnia wraz z pierwszym brzaskiem dnia, minęliśmy wyspę Marion z jej wulkanem wznoszącym się do 4,000 stóp i również zostawiliśmy w dali wyspę księcia Edwarda, położoną między 46° 55' szerokości południowej, a 37° 46' długości zachodniej.

Powieść Edgarda Poë. *)

Oto w skróceniu treść powieści wydanej w Richmond pod tytułem: „*Przygody Artura Pryma*”, któremi tak chorobliwie zajął się umysł kapitana Len Guy, a które niby sam bohater w formie pamiętnika podaje.

Najpierw więc w przedmowie objaśnia, jako za powrotem z podróży do bieguna południowego, zaznajomił się z Edgardem Poë, redaktorem „Kroniki literackiej”, poczytnego pisma w Richmond, i jako za jego poradą pomieścił w szpaltach tegoż pisma pierwszą część swych Pamiętników, a zachęcony niebawem uznaniem wśród czytającej publiczności, zgodził się wreszcie na wydanie osobnego dzieła, zawierającego wspomnienia z nadzwyczajnych wydarzeń jego życia.

Pierwsze rozdziały poświęca autor młodości swojej. Dowiadujemy się więc, iż urodził się w Nautucket, gdzie do 16-go roku życia pobierał nauki w szkołach, a po ich ukończeniu przeszedł na studia uniwersyteckie.

Tutaj zaprzyjaźnił się niebawem, ze starszym od siebie o dwa lata, synem kapitana okrętu, Augustem Bertol, który towarzyszył już ojcu w paru wyprawach na wieloryby. Naturalnie ulubiony i nigdy niewyczerpany temat do rozmowy między młodymi stanowiły podróże, tem więcej, że Artur Prym, miał od dzieciństwa szczególne w tym kierunku upodobanie, podniecane teraz barwnymi opisami Augusta.

Obaj też przyjaciele postanowili poświęcić się marynarce, obaj poprzysięgli sobie zbadać nieznane dotąd morza bieguna południowego.

Pierwsza próba samodzielnej podróży morskiej obu tych zapaleńców, przedsięwzięta została na małej szalupie „Ariel” która była własnością kapitana Bertol. Potajemnie, nocą, opuścili oni port bez żadnego przygotowania.

Wkrótce też na łasce rozłukanych fal, w czasie nagle powstałej burzy, znajdując się już w rozpaczliwym położeniu, zostali jeszcze najechani przez jakiś wielki żaglowiec. Walcząc z rozszalałym żywiołem, widzą już wreszcie bliską śmierć przed sobą, gdy najniespodziewaniej udziela im ratunku znajomy statek i odwozi do ojczystego Nautucket.

Tak niefortunny początek nie oziębził w nich wszakże zapału do awanturniczych przygód, owszem, tem usilniej szukali odtąd sposobności dostania się na jakikolwiek okręt. To też, gdy w kilka miesięcy po wypadku z Arielem, stary Bertol udać się miał na połów wielorybów, jako kapitan dość już zrujnowanego okrętu Grampius, młody August tak długo naprzykrzał się ojcu prośbami, aż go ten zdecydował się zabrać. Odmówił jednak stanowczo przyjęcia Artura, wiedząc, jak rodzina jego była temu przeciwna.

Ale właśnie owa trudność w urzeczywistnieniu najgorętszych pragnień, rozegzałtowała do tego stopnia młodzieńca, iż postanowił bądź co bądź towarzyszyć Augustowi. Z jego więc też pomocą dostaje się potajemnie na okręt i ukrywa w najniższem pięttrze przeznaczonem na skład narzędzi-rybackich, beczek do tłuszczu wielorybiego, oraz przeróżnych pak i ciężarów.

Ciemna ta i cuchnąca dziura połączoną była ukrytem

wejściem z kajutą, którą miał zajmować August, a który przygotował tamże dla przyjaciela zamykaną skrzynię z materacem i kołdrą oraz pewną ilość żywności, dzban wody do picia, butelkę koniaku, wreszcie latarkę, świece i krzesiwo.

Do tej kryjówki wszedł Artur już na trzy doby przed odjazdem Grampiusa, i nie prędzej miał się ukazać kapitanowi, aż gdy wypłyną na pełne morze, t. j. gdy odwrót stanie się już niemożliwym.

Nie łatwą wprawdzie było rzeczą siedzieć tam w głębi, bez światła, ruchu, a nadewszystko bez powietrza, któremby płuca odetchnąć mogły. Od czegoż jednak siła woli i młodości!

Skoro wszakże dobrowolny nasz więzień poczuł pierwsze zakolysanie się okrętu, które mu oznajmiło, że kotwica podniesioną została, doznał już pewnej ulgi, jedynie pod wrażeniem nadziei, iż niezadługo skończy się to przykre położenie. W kilka też godzin potem wyszedł ze skrzyni, by wyprostować ścierpnięte członki, a potykając się o rozrzucony w nieładzie ładunek, odszukał ukrytą w górze kłapę, przez którą August obiecał wprowadzić go do swej kajuty. Upewniwszy się, że wyjście to istnieje, pełen nadziei i dobrej otuchy, wrócił do swej kryjówki, posilił się zimnem mięsem, wychylił kieliszek koniaku i zasnął. Nazajutrz wszakże napróżno oczekiwał przyjaciela, i nad wyraz przykry ten zawód powtarzał się przez kilka dni następnych.

— Czyżby obawa przed gniewem ojca, powstrzymywać dotychczas miała Augusta — myślał zrozpaczony już wreszcie Artur. — Ale cóż mi zrobić może stary kapitan? Gdyby mi nawet kazał wrzucić do oceanu, wolałbym taką śmierć raczej, aniżeli powolne tu konanie!

I rzeczywiście, zabójcze powietrze, jakie zapełniało dolną część rybackiego statku zatruwało każdego dnia, każdej godziny do tego stopnia organizm młodego Pryma, że narreszcie popadł w jakiś stan gorączkowy, w którym miewał przykre halucynacje i straszne udręczenia.

Razu jednego zdawało się mu, iż napadnięty przez olbrzymiego lwa pustyni staczał z nim walkę o śmierć lub życie, a gdy poczuł kosmatą łapę zwierzęcia na piersi swojej, ogarnęło go takie przerażenie, że resztą przytomności by nie zdradzić się fatalnie, ledwie zdołał stłumić okrzyk najwyższej trwogi. Wysiłek ten jednak wyczerpał go do tego stopnia, że padł zemdlony na swe posłanie i długo leżał nieświadomy co się z nim działo.

Owym lwem jednakże, z którym rozgorączkowana fantazya Artura staczała tak nierówną walkę, było zwierzę oddane mu z całem przywiązaniem, na jakie tylko pies zdobyć się może. Był to Solt piękny dog, wprowadzony przez Augusta na okręt, który odszukał wreszcie swego pana, i radość swoją objawił lizaniem twarzy i rąk zemdlonego.

Tak więc samotny więzień dostaje towarzysza, który jednak w czasie kilku dni zupełnej nieprzytomności jego, zdołał zjeść zapasy żywności, a co gorsza wypić resztę wody ze dzbana.

Nieszczęśliwy chory nie znajduje zatem ani jednej kropelki, którąby mógł zwilżyć spieczone usta.

Wyczerpany, bezwładny prawie, usiłuje jednak doczołgać się do skrytego wejścia i bądź co bądź przywołać Augusta na pomoc. Leczą zastaje otwór ten zamknięty, a wprowadzony w szparę nóż przekonał go, że ciężkie jakieś przedmioty przywalają drzwiczki, które miały wyprowadzić go na swobodę, — do zdrowia i szczęścia.

Świadomość ta, jest dla niego jakby ostatecznym wyrokiem śmierci.

Ledwie dysząc, ostatkiem sił wrócił na swe posłanie, na które padł z głuchym jękiem, podczas gdy wierny Solt nie przestawał się łasić, skomlać żałośnie, gdyż i jego dręczyło już przykre pragnienie.

Nagle, obojętny już na wszystko Prym, wypadkiem dotyka ręką szyi zwierzęcia i czuje przywiązany tam na sznurku zwinięty kawałek papieru.

Nadzieja, że może to karteczka, jako oczywiście od Augusta pochodząca, da mu jakieś wytłomaczenie i obietnicę

*) Edgard Allan Poë należy do najznakomitszych poetów i powieściopisarzy amerykańskich z pierwszej połowy bieżącego stulecia. Pisał po angielsku.

pomocy, wzbudza w nim tyle jeszcze energii, że krzysiem wywołuje odrobinę światła, (olej w latarni bowiem wypalił się już doszczętnie) i przy tym krótkotrwałym blasku, czyta ostatnie słowa zdania: *krew... zostaw w ukryciu — życie twoje od tego zależy.*

— Co to znaczy? — jęknął nieszczęśliwy. — Czy ja śnię? Nie, to rzeczywistość. Czuję papier w ręku!... Mam jeszcze tu zostać, to znaczy umrzeć. Czy to jego wola, abym zginął tak marnie?... Ale ten wyraz „krew”!... Może walka jaka została tam stoczona — może rozbójnicy morsecy, może bunt załogi... Od jak dawna właściwie ja tu jestem?...

Pytania te jak rój owadów napełniły dziwnym jakimś szumem wyczerpany umysł Artura, poczem znów nastąpił ów przykry stan bezwładnej świadomości.

Możnaby sądzić, że w opowiadaniu, którego drobiazgowość pomijam, autor wyczerpał już cały zasób swej fantazyi. Gdzie tam, wiecie go ona jeszcze dalej, bo oto:

Jakiś dziwny świst zwraca uwagę apatycznie leżącego Pryma...

To Solt dyszy gwałtownie, Solt, którego oczy fosforycznym blaskiem migocą w ciemności, a ostre kły zgrzytają złowrogo, Solt, który dostał napadu wściekłości...

Wrodzony każdej istocie instynkt samozachowawczy, wywołuje u nieszczęśliwego młodzieńca nowy wysiłek woli. Szybkim ruchem odskakuje w bok przed ziejącą paszczą zwierzęcia, wyrwa kołdrę, w której tenże zatopił swe kły, i zatrzaskuje drzwiczki do skrzyni, zamykając w niej psa dotkniętego najstraszniejszą z chorób, a rozbijającego się tam w szalonej niemocy.

(d. c. n.)

Z DALSZEGO ŚWIATA.

Namioty dla zabłąkanych dzieci. — Wystawa afrykańska w Berlinie. — Pies niewolnikiem. — Zrozpaczona sowa.

W podmiejskich okolicach Londynu, gdzie w każdą niedzielę i święto setki tysięcy ludzi przybywa z miasta, aby odetchnąć świeższym powietrzem, w natłoku i ścisku nieraz zabłąka się mnóstwo dzieci, których odnalezienie przez rodziców bywa połączone z wielkimi trudnościami. Otóż niektóre gminy podmiejskie urządzają specjalne namioty z napisem: „Zgubione dzieci,” dokąd każdy prowadzi zabłąkane maleństwa, a starsze z nich same z łatwością tam trafiają, gdy się rozłączają od rodziców lub opiekunów. Ci znowu prosto dążą do namiotu po swoje zguby. Poinysł ten okazał się więc nader pożytecznym.

W Berlinie otwartą ma być w tych dniach wystawa afrykańska, do której sprowadzono nader liczne i bogate materiały. Oprócz ubiorów i wyrobów miejscowych, znajduje się tam kilkanaście rodzin Boerów i około 150 innych kra-

jowców, mężczyzn, kobiet i dzieci, jak np. Zulusi, Matabele, Hottentoci, Buszmeni i t. p. są również nader liczne i bardzo piękne okazy zwierząt. Słowem, zwiedzający tę wystawę mogą powziąć nader dokładne wyobrażenie o wielu osobliwościach afrykańskich łądów.

W obecnej wojnie greckiej pies został wzięty do niewoli przez Turków. Jest to dog księcia Michała greckiego imieniem: Zeno, pozostawiony przez pana swego w Larysie. Adjutant sułtana Kaiian bej, po przybyciu tamże znalazł psa bardzo smutnego z powodu odjazdu pana, a ponieważ lubi psy, wziął go do Saloniki i tam zdał o nim raport. Bano się go jednak i wzięto na łańcuch. Płaszcz żołnierski dano mu na posłanie, a w końcu postanowiono go fotografować. Zajeżdżał powóz, do którego wsiadł bej z więźniem, sierżant i żołnierz. Warta honorowa zdawała się szczególnie interesować Zena, gdyż skoczył na kozioł i wetknął olbrzymi pysk pomiędzy obu żołnierzy. Dokonano fotografii przy okrzykach hura! tłumowi widzów.

Na dowód jak okrutnem a częstokroć nawet niebezpiecznem jest złe obchodzenie się ze zwierzętami, podajemy opis wypadku z przyprowadzoną do rozpacz sową. W dniu 16 maja r. b. w miasteczku Brańsku gub. grodzieńskiej, mówi opowiadający, między godziną dziewiątą a dziesiątą wieczorem, w noc księżycową przechodziłem koło cmentarza kościelnego, okolonego starymi drzewami, dążąc do probostwa, gdy wtem koło furty kościelnej ucułem gwałtowne uderzenie w głowę tak, że wydawszy okrzyk: „Co to jest?” o mało nie upadłem. Chwyciłem się za głowę, kapelusza nie było, ból tylko silny czułem i krew po twarzy mi płynęła. Szukałem kapelusza napróżno i koło siebie nikogo nie spostrzegłem. Sądząc, że może z poza muru ktoś rzucił kamień, lub uderzył mnie przez furkę, wszedłem na cmentarz, ale i tam nikogo nie było. Na mój krzyk nadbiegł ktoś ze służby probostwa. A kiedy opowiedziałem mu o wypadku, odparł: — „A to sowa rzuca się na ludzi, gdyż wybrano jej z gniazda młode.” Na probostwie obmyto mi głowę ze krwi, ból jednak czułem silny, a wezwany lekarz dostrzegł kilka zadraśnień szponami ptaka i jedno dłuższe i głębsze. Obecni na probostwie panowie, nie wierząc memu opowiadaniu wybiegli, lecz wróciwszy po chwili oświadczyli, że sowa i na nich się rzucała i przyniesiła małe sowiątko, znalezione na ziemi, blisko miejsca napadu. Starą sowę po kilku wystrzałach zabito a sowiątko wyrzucono do ogrodu. Na drugi dzień odnaleziono mój kapelusz w ogrodzie o kilkaset kroków od miejsca, gdzie był zdarty, druga zaś sowa pisklę swe odprowadziła w odleglejszy kąt ogrodu, zabito je tam przez okrutną ciekawość, jak się zachowa jego matka. Sowa ujrawszy zabite pisklę zaczęła pisać, wydawała prawdziwie jęki, lubo śnać łagodniejszej natury, nie rzucała się na nikogo. Wszyscy obecni przykro wzruszeni żalowali wtedy swego złego postępku i przyrzekli sobie, nigdy nie dręczyć bezmyślnie żadnych stworzeń żyjących.

Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY, na kwartał III-ci dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: Delfiny (z ryc.) — Wojny krzyżowe. — Panna Marychna z Oporowa przez A. z Ch. Borkowską. — Malborg (z ryc.) — Sfinks lodowy, przez Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Z dalszego świata. — Dodatek: Nieudana wycieczka, wiersz (z ryc.) — Zabawki letnie przez Maryę Weryho. — Dosia. — Wieszcza bzu. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Wśród chmur i słońca, przełożyła z angielskiego Marya B.

WIECZORY RODZINNE

Na pomnik Mickiewicza

DO REDAKCYI WIECZORÓW RODZINNYCH NADESZŁALI:

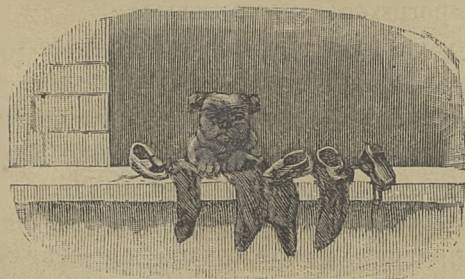
Józio Baliński rs. 2.—Marya z Ch. Balińska rs. 3.—
Aleksandra z Ch. Borkowska rs. 3.—Józio i Tadzio Zawadzcy
rs. 1 kop. 50. — W. D. kop. 50 — Witoldek z nad Świtezi
kop. 20.—Zosia Plewińska rs. 1 kop. 20.—Razem rs. 11 k. 40.



NIEUDANA WYCIEZKA.

II.

Julcia jak może przyspiesza kroku,
Chociaż ukradkiem boleśnie wzdycha,
Bryluś zaś, przy jej bieżącym boku,
Niby niechętny warczy coś zcicha.
A Kazio w swojej junackiej głowie
Waży pytanie wielce ciekawe:
— Co też to nasza mateczka powie,
Na tę nieszczęsną, ranną wyprawę?
Łatwo przewidzieć, jaki na końcu
Przyjęły obrót te smutne dzieje.
Dość widzieć, co się suszy na słońcu,
Tam, gdzie się Bryluś samotnie grzeje.



Jest to zmoczone obuwie dzieci,
Co, ukarane własnym zamiarem,
Choć wkoło wszystko pogodą świeci,
Leżą w łódeczkach z strasznym katarem.
I z ich przygody wysnuć też łatwo,
Taką dla wszystkich dobrą przestrogę:
— Nie waż się nigdy, o miła dziatwo,
Puszczać bez starszych w nieznana drogę!
E. L.

ZABAWKI LETNIE.

Wszystkie najdrobniejsze stworzenia żyjące mają swoje odrębne warunki istnienia, częstokroć nieznane nam przez to, że nie zwracamy na nie uwagi, a zresztą i przez to, że zbadać je trudno, gdy ukrywają się w trawie lub w wodzie. Trudności te wszakże łatwo usunąć, odosobniając każdą podobną istotę i dostarczając jej odpowiednich warunków życia. Mając ją w swem posiadaniu, możemy zbadać dokładnie jej ustrój i sposób istnienia. Jeżeli podobne badania zajmą którego z naszych czytelników, o czem nie wątpimy, niech sobie robi dziennik i zapisuje w nim swoje spostrzeżenia.

Musimy jednak uprzedzić, że wymaga to cierpliwości i wytrwałości ze strony badającego, ale za to wysiłek ten sowiec będzie wynagrodzony.

Rzecz prosta, że wieś nadaje się do tego rodzaju badań daleko więcej niż miasto, chociaż podmiejskie wycieczki mogą w części zadowolnić dobre po temu chęci mieszkańców miast.

Spostrzeżenia zoologiczne:

1) Weźmijcie duży słoć, nasypcie do niego piasku i ziemi, w pośrodku wstawcie mały spodeczek lub filiżankę z wodą ocukrzoną, miodem albo syropem; weźcie potem część mrowiska — (ziemię, igły, kokony mrówek i same mrówki) — wszystko to włóżcie do słoja i przykryjcie go muslinem, lub pokłutym szpilką papierem.

A wtedy uważajcie, jak się będą zachowywały mrówki, w jaki sposób po kilku dniach zaczną budować mrowisko i korytarze.

Wrzućcie im kostkę z łapki albo skrzydełka kurczęcia, a zobaczycie, jak czyściutko ją objędzą.

Dajcie im także liść, na którym siedzą mszyce, i uważajcie, co z nimi robić będą.

Wkońcu zróbcie duży otwór w papierze, a zobaczycie, w jaki sposób będą uciekały i co z sobą zaborą.

2) Weźcie znów możliwie duży słoć, włóżcie ziemi, zróbcie przykrywkę z tektury z małemi otworami dla dostępu powietrza.

Wyszukajcie z ostrożnością parę trzmieli i włóżcie je do słoja, dodajcie przytem trochę mchu suchego i codzień odmieniajcie koniczynę, która trzmielom posłuży za pokarm. A wtedy zauważcie, w jaki sposób będą trzmielie gniazdo budowały? Jak będą przyrządzać materiał do tej budowy? Jak będą robiły komórki? czem się te komórki różnić będą od tych, które mają pszczoły? Kiedy się wylęgną młode trzmielie?

3) Do słoja, w ten sam sposób przygotowanego, włóżcie kilka grabarzy i nieżywego ptaszka, którego czasem znaleźć można pod drzewem, gdy się zabije, spadając z gniazda, a zobaczycie, jak grabarze będą go okopywać w ziemię. Po tygodniu kijkiem odgrzebiecie ptaszka, przez szkło słoja zobaczycie gąsienice grabarzy w jego cieple.

Zasypcie go znowu ziemią i w kilka dni potem odkopawszy ziemię zobaczycie poczwarki.

4) Do dużego słoja z piaskiem włożcie kilka kijanek z mułem i trawą. Następnie uważajcie, jak zasną kijanki, jak się żywią, jak im wyrastają nogi tylne, kiedy przednie, kiedy kijanka zamienia się na żabkę i t. p.

Marya Weryho.

D O S I A.

— Proszę pana, czy panienka przejdzie ze mną do sypialni? — pytała, wszedłszy do pokoju, piastunka, zwracając się do młodego człowieka, który bawił się wesoło, biegając po pokoju z małą córeczką. Ojciec chciał pochwycić dziewczynkę, która, nie spostrzegła nawet wejścia służącej, wyczekującej końca zabawy na progu.

Oprócz Brygidy pani Osnolska, piękna młoda osoba, z dużymi czarnymi oczyma i jasnymi włosami, przypatrywała się smutnie zabawie męża i dziecka. Trudno było bardzo wyobrazić sobie, że ten kochający ojciec, dogadzający wszystkim zachciankom rozpieszczonej jedynaczki, był niezmiernie surowym dla podwładnych swoich, robotników dużej fabryki, którą posiadał w pobliżu Łodzi. Niejednokrotnie naraził się on na ich niechęć, a w końcu nawet na nienawiść wielu z nich. Pani Osnolska wiedziała dobrze o wrogiem usposobieniu dla męża fabrycznej ludności, przeciążonej pracą za małą płacę, i trapiła się tem nie pomału. Nie mogła więc brać udziału w wesołej zabawie ojca i córki.

— Boże, czuwać nad nami! — westchnęła w głębi duszy.

W tejże chwili spostrzegła Brygidę, wyczekującą na Dosię.

— Julianie — rzekła — czas już dla Dosi iść na spoczynek, Brygida oddawna na nią czeka.

Zbliżywszy się do dziecka, chciała je wziąć za rękę, ale dziewczynka trzymała się uparcie ojca.

— Tatusiu — szeptała mu do ucha — chcę zostać trochę dłużej, tak się dobrze bawimy!

— No, no, mała figlarko, dość tego, już późno, trzeba iść spać. Patrz, jak mi niemiłosiernie włosy rozrzuciłaś, powiedz mi dobranoc, a jeśli będziesz grzeczną, to cię sam do łóżeczka zaniosę.

— Dobrze — zawołała dziewczynka. — Dobranoc mamusi! Wszak mamusia przyjdzie, jak zwykle, uścisnąć mnie i przeżegnać w łóżeczku.

Pan Osnolski wziął dziecko na ręce i wyszedł.

Patrząc za odchodzącymi, żona jego westchnęła znowu i, usiadłszy przy stoliku, wzięła do ręki haft, porzucony przed chwilą. Tego wieczoru jednak nie myślała o robocie, zapadając ciągle w przykrą zadumę.

— Mam przeczucie jakiegoś nieszczęścia — myślała, czuję jakby grom, spadający z ciężkiej chmury, która zawisła nad nami.

— Co to znaczy! — zawołała, zrywając się nagle i zaciskając nerwowym ruchem dłonie, zdawało jej się

bowiem, że słyszy szmer jakiś pod otwartem od ogrodu oknem.

— Nikogo przecież tam niema — myślała — muszę wyleczyć się z tej nedorzeczej trwożliwości! I zasiadając znow do roboty, usiłowała odzyskać spokój.

W tej chwili wszedł mąż jej, a pocałowawszy ją w czoło, rzekł łagodnie:

— Przed herbatą wyjść jeszcze muszę, aby się porozumieć z dyrektorem fabryki, któremu poleciłem wstrzymać należną zapłatę buntującym się rzemieślnikom, póki na nowo nie zaczną pracować. Postanowiłem użyć względem nich energicznych środków i przekonać ich stanowczo, że potrafię bronić praw swoich.

— Czekaj, proszę, kochany Julianie — zawołała pani Osnolska, kładąc mężowi rękę na ramieniu i wzrok błagalny zwracając ku niemu. — Przez miłość dla mnie, dla twego dziecka, postępuj z tymi biednymi ludźmi z większą wyrozumiałością i względnością. Pamiętaj, że zobopólnej niechęci smutne mogą być następstwa.

— Nie, moja droga, w tym razie nie mogę ustąpić. Wiesz, że przez miłość dla ciebie wszystko, co jest możliwem gotów jestem zrobić, ale to niemożliwe. Ustępstwo, uczynione tym obalamuconym ludziom, byłoby z mej strony słabością. Nie domyślasz się nawet, moja droga, jak wielkich zmian ode mnie wymagają.

Ostatnie te słowa silnie wzruszyły panią O. Mąż, widząc przestach, malujący się na jej twarzy, ujął dłoń jej pieścizotliwie i mówił dalej:

— Płonnych obaw nie dopuszczaj do siebie! bądź tak, jak byłaś dotąd, odważną i dzielną towarzyszką moją. Zobaczysz! wszystko załatwi się pomyślnie, i nie będziesz miała więcej powodu do niepokoju.

— Nie powinienś lekceważyć złego, na jakie narażasz tych ludzi, przywołując ich do rozpacz — odparła młoda kobieta. — Nie cofną się oni przed niczem; przypomnij sobie, jak się odgrzaali niedawno. Przez wzgląd na mnie i na nasze dziecię, nie bądź surowym dla tych biedaków, uwzględnij ich słuszne wymagania, wszak to bliźni nasi, a do występnych czynów skłonić ich może nadmierna praca i niedostatek.

Nie mogę dłużej znieść tej ciągłej trwogi, w jakiej żyć muszę... Daj się ubłagać, póki pora — mówiła w największem poruszeniu młoda kobieta.

— Czekaj tylko, czekaj cierpliwie — prosił mąż — a wszystko się pomyślnie załatwi, zresztą wyjedź ztąd na czas jakiś z Dosią; powrócicie, gdy nastanie spokój. Zmiana miejsca pobytu korzystnie oddziała na zdrowie wasze.

— Sądziś, że mogłabym w chwili niebezpieczeństwa odstąpić cię i zostawić samego! — zawołała oburzona takim przypuszczeniem pani Osnolska. Na to nigdy się nie zgodzę! Powinnością żony jest dzielić losy męża, a cokolwiek wypadnie, wiernie stać będę obok ciebie. Idź już, tylko, zaklinam cię, bądź miłosiernym.

— O ile to okaże się możliwem, uczynię zadość życzeniu twemu.

(d. c. n.)

WIESZCZKA BZU.

(Dalszy ciąg).

— Jeszcze nie wróciła — odpowiedział szpak — ale jak wróci pewnie żałować będzie, że wyjechała. Łatwiej powiedzieć, co się tam nie dzieje; ja tu się rozmaitych rzeczy dowiaduję. Anibyś poznała teraz tej pięknej posiadłości, wszystko opuszczone, zaniedbane. A między stworzeniami ogólny lament i narzekanie. Nigdzie naokół takie historye się nie dzieją. Powiadają, że księżna nie wzbrania przystępu największym drapieżnikom i że bezkarnie pozwala uciskać słabych. Mówią, ale kto tam wie czy prawda, ja to słyszałem od dudka, który wczoraj przelatywał, że Szkarłatka umyślnie jest podstawiona przez nieprzyjaciół Wieszczy, żeby jej państwo do upadku, a jej poddanych do buntu doprowadzić.

Szafirka zarumieniła się z oburzenia.

— Mogę cię zapewnić, że nie — wykrzyknęła — dudek kłamie w najniedorzeczniejszy sposób; znam Szkarłatkę oddawna, może sobie nie umie dać rady z dużym ogrodem, w którym jest pełno rozmaitych mieszkańców, ale chęci ma jaknajlepsze, a za gościnność i dobroć Wieszczy nigdyby nie odpłaciła niewdzięcznością.

Szpak pokiwał głową i odfrunął.

Skoro zebrali się Niezabudki, Szafirka poprosiła je o pozwolenie odwiedzenia Szkarłatki; zajechał wózek, zaprzężony w szczygły, i ptaszyny uniosły wysoko Szafirkę.

Zbliżając się już do wspaniałego ogrodu, dziewczynka spostrzegła, że szpak mówił prawdę. Kwiaty przywiedły smutno wyglądały, drzewa miały objedzone liście i świeciły nagiemi gałęziami, mnóstwo chwastów i pasztytów rośnie wszędzie. Ani jeden barwny motyl nie uwijał się nad trawkami, wypalonemi od słońca, nie słychać było wesołego śpiewu ptaszek, natomiast Szafirka spostrzegła kilku drapieżników, których rozróżnić już się nauczyła. Przez zarośla mignęła także łasica.

— Co też ta Szkarłatka zrobiła — szepnęła dziewczynka — na wiele strat i kłopotów naraziła tę dobrą Wieszczkę.

— Chcę się widzieć z księżną, do której mam pilną sprawę — rzekła Szafirka do różowej Macierzanki, która wyszła, usłyszawszy świągotanie ptaków.

— Księżna spożywa obiad — odpowiedziała Macierzanka — i nie przyjmuje.

— Przyjmie, skoro się dowie, że to ja, pójdziemy zaraz — odpowiedziała Szafirka, zeskakując z wózka.

Różowa Macierzanka zawahała się, ale widząc pewnością siebie Szafirki, zaprowadziła ją do jadalnej sali. Na kwiatowej otomanie siedziała Szkarłatka, kończąc sutą biesiadę.

— Dostojna księżno — zaczęła Macierzanka — panna Szafirka pragnie natychmiast widzieć waszą dostojność.

Ale Szkarłatka nie dała jej skończyć i krzyknęła:

— Rozkazałam nie wpuszczać nikogo, czy tak wykonywacie moją wolę? Gdzie jest ochmistrzyni dworu,

niech natychmiast ukarze Macierzankę za nieposłuszeństwo.

Szafirka, zdziwiona niewymownie, wysunęła się naprzód.

— To ja, przyjechałam w bardzo pilnej sprawie — rzekła.

— To i cóż ztąd, że ty — odpowiedziała wyniosłe Szkarłatka — poznaję cię przecież i widzę, że jesteś moją panną dworską, którą oddaliłam, przyjeżdżając tutaj. Udzielę ci posłuchania po skończonym obiedzie.

Panny dworskie wyprowadziły czempredzej Szafirkę.

— Czy się Szkarłatce przewróciło w głowie do tego stopnia, iż zapomniała, że jestem jej siostrą — pomyślała.

Po długim czekaniu wprowadzono Szafirkę do gabinetu, w którym Szkarłatka leżała wspaniale rozparta na darniowej kanapie. Czerwona Firletka i biała Konwalia chłodziły ją wachlarzami z liści, ale wysunęły się, gdy Szafirka weszła.

— Jakaż jest ta pilna sprawa, dla której domagałaś się tak natarczywie posłuchania — spytała cierpko Szkarłatka — spieszyć się proszę, bo mam tyle ważnych spraw na głowie, że nie mogę dużo czasu poświęcać drobiazgom.

— To nie są żadne drobiazgi, Szkarłatko, przysłałam ci powiedzieć...

— Za pozwoleniem — przerwała Szkarłatka — cóż to za niewłaściwa poufałość, czy nie wiesz, jak się mówi do księżnej?

— Jakaś ty zabawna — zawołała głośno Szafirka — czy zapomniałas, że jestem twoją siostrą, czy też i we mnie chcesz wmówić, żeś się urodziła księżną.

Szkarłatka, zarumieniona od gniewu, podniosła się i rzekła przyciszonym głosem:

— Jeżeli powiesz jeszcze słowo, każę cię ztąd wyprowadzić; jestem księżną, a ty moją panną dworską; pamiętaj o tem, jeżeli chcesz, żebym cię słuchała.

— Jako, zapierasz się mnie? myślałam, że to żart i dla tego z początku zaraz nie zaprzeczyłam.

— Nie bądźże dziwaczną i nie obrażaj się zaraz, przede wszystkim pamiętaj, że ja tu rozkazuję, więc radzę ci, nie sprzeciwiaj mi się.

— Bądźże sobie księżną, jeżeli chcesz koniecznie, ale pamiętaj, że twoja władza tylko do czasu trwać będzie. Wieszcza może niedługo wróci i co zastanie? Najokropniejszy nieład, wszyscy się skarżą na twoje rządy, nie umiesz utrzymać porządku i zgody.

— Cicho bądź! — krzyknęła rozgniewana Szkarłatka — ty mię chcesz uczyć, ty, która sama nic nie wiesz i nic nie rozumiesz. Wszystko jest dobrze, a znam się lepiej od ciebie.

— Szkarłatko, nie unos się. Uczę się ciągle u sióstr Niezabudek, posłuchaj dobrej rady i...

— Żadnych rad i uwag nie przyjmuję, wiesz o tem dobrze, że tybys tu porządku utrzymać nie umiała, bardzo temu wierzę, wracaj do swoich Niezabudek.

Szkarłatka wyszła rozgniewana, a Szafirka odeszła bardzo zasmucona.

— Nic tu nie poradzę — pomyślała — ale obawiam się, aby to wszystko źle się nie skończyło.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Z dwóch tych sylab codzień wiecie,
Co się dzieje w całym świecie.

ARYTMOGRYF.

Ułożyła Cesia S.

- 1) 23, 10, 9, 8, 7. Drzewo z rodz. szyszkowych.
- 2) 10, 4, 7, 9. Zwierzę z grom. stawowatych.
- 3) 7, 12, 12, 7. Imię żeńskie.
- 4) 2, 13, 7, 5, 16, 3. Przysłówek.
- 5) 17, 16, 6, 3, 7, 12. Tytuł wodza w daw. Polsce.
- 6) 19, 18, 19, 15, 16, 12, 19, 7. Córka Agamemnona.
- 7) 3, 7, 21, 15, 19, 16, 21. Tytuł poematu Syrokomli.
- 8) 14, 10, 22, 7, 23. Wyspa na Dunaju.
- 9) 16, 23, 21, 11, 1, 19, 9, 16, 5. Poeta grecki V-go w.
- 10) 14, 16, 5, 13, 2, 13. Ryba rzeczna.
- 11) 16, 23, 21, 16. Dopływ Sekwany.
- 12) 4, 7, 2, 8, 7, 4. Imię królów czeskich.
- 13) 16, 5, 20, 19, 3, 10, 5, 19. Mieszkańcy Grenlandyi.
- 14) 14, 16, 12, 19, 4, 19, 16, 2. Zwierzę ssące z rzędu [bezzębnych].
- 15) 19, 4, 10, 12, 19, 2, 13. Miejscowość lecznicza w Gali-

Liczyby zastąpić literami, aby pierwsze i ostatnie litery złożyły imiona i nazwiska dwóch polskich historyków, złączone spójnikiem.

ŁAMIGŁÓWKA ARYTMETYCZNA.

Jeden gospodarz kupił parę koni: jednego dla siebie, drugiego dla syna, lecz nabył tylko jedno siodło.

— Ile zapłaciłeś za konie, kochany ojczu? — zapytał syn.

— Siodło kosztuje 100 rs. — odpowiedział ojciec — gdy włożę je na mojego konia, będzie ten trzy razy więcej wart, niż twój bez siodła; gdy przecież twój koń będzie osiodłany, będzie tylko połowę wart tego, co mój bez siodła. Oblicz teraz, ile kosztowały konie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 23-go.

Szarady: Pa — li — san — der.

Łamigłówni zgłoskowej:

m w s e d a k r f d t k w t b
a r o g r s u a r a r o i y i
Z o f i a U r b a n o w s k a
u n i p w a k k n t k a ł w ł
r a a t a n a a k e i l a a a

Rebusiku:

W Bogu nadzieja i pociecha w sercu.

Skrzynka do listów.

Astronomowi pisującemu dawniej pod pseudonimem *Marsu* oświadczamy najpierw, że łamigłówni jego z podpisem: *Jedna z czytelniczek Wieczorów* wydrukowaną została przez omyłkę. Nie mamy bowiem zwyczaju zmieniać samowolnie niczych podpisów. Nie przyjmujemy tylko tych, co są niewłaściwe, jak to uczyniliśmy obecnie. Korzystając z tej okazji, donosimy także, że na listy podpisywane niewłaściwymi pseudonimami równie też na pisane nieporządnie, t. j. częścią zwykłymi, a częścią niby drukowanymi lub też jakimiś wymyślonymi literami, odpisywać wcale nie będziemy.

10-letni *Szaraczek* rozwiązał dobrze zadanie arytmetyczne, myśląc się tylko o cztery, bo zapomniał, że pierwszą i ostatnią przestrzeń krokową pielgrzym przeszedł tylko po raz, a nie po trzy razy, jak wszystkie pośrednie przestrzenie.

Dobre rozwiązania zadań nadesłali: *Tygrys* z Abisynii, *Aleksander Sterl*, *Blondynka*, *Adzia D. Srocza* z Ukrainy, *Małpka* z Borneo, *Andzia* i *Bronek M.*

Łamigłówni własnego układu otrzymaliśmy od *Motylka*, *Primuli*, *Konstantego K.*, *Tygrysa* z Abisynii i *Aleksandra S.* i kolejno pomieszczać je będziemy, o ile tylko okażą się odpowiednie do druku.

I drugą nową korespondentkę witam w *Konwalijce*. Pseudonym twój bardzo mi się podobał i nie mogło być inaczej, bo konwalia to mój kwiatek ulubiony. Podczas wakacji spodziewam się że obdarzysz mnie dłuższym liścikiem, przysyłając jednocześnie jaką szaradę lub łamigłówni własnego układu, którą chętnie wydrukujemy, byle się tylko okazała odpowiednią. Stałej przyjętej formy przy układaniu łamigłówek niema, bo różnego rodzaju łamigłówni układać można. Życzę ci powodzenia przy składaniu egzaminów.

Primuli. Książki p. t. „Diamantowe pola” Wł. Umińskiego dostać można w każdej księgarni, cena rs. 1 kop. 50 bez przesyłki.

Srocza z Ukrainy nie potrzebowała czekać rozwiązania szarady i zagadki, by pierwsza do mnie napisać. Widząc z jaką radością witam wasze liściki, aż nadto mogłaś być pewną, że i twój nie dozna mniej serdecznego przyjęcia. Początek powieści „Wśród chmur i słońca i premium już ci posłano. Bardzo jesteśmy radzi, że „Sfinks lodowy” pocieszył cię po „Wyprawie do Grenlandyi.

Lucynka Ch. wprost do Redakcyi może przysłać pieniądze na pomnik Mickiewicza, bo i my wraz z innemi Redakcyami na cel ten przyjmujemy składki i nazwiska dających podajemy w *Wieczorach*. Oplatę kosztów przesyłki książki przyjmujemy markami.

Aleksander i *Edzio F.* Początek powieści drukującej się obecnie w dodatku otrzymają bezpłatnie, a za przesyłkę premium należy się 20 kop.

Wesołość, pierwszy raz zapukała do mej skrzynki, chociaż już dość dawno jest stałą czytelniczką *Wieczorów*. Nie dziw jednak, że przy mozolnej nauce na przyjacielskie pogawędki niewiele pozostaje czasu, mam jedną nadzieję, że, jak mi to obiecujesz w czasie wakacji niejeden wesoły liścik otrzymam od ciebie, bo się domyślam, że pseudonym odpowiada zapewne twojemu usposobieniu.

Adzia D. pilnej czytelniczce *Wieczorów*. Listu, na który nie było odpowiedzi, nie odebraliśmy wcale.

Jaskółka.

Nowe książki przysłane do Redakcyi *Wieczorów*:

Kto był Mickiewicz? opowiedział St. Orsza.

Cena kop. 5.

(Książeczka właściwa dla ludu miejskiego i wiejskiego).